Przystanek historia

https://przystanekhistoria.pl/pa2/teksty/43462,Koszmarny-smiech-Walesy-Fragmenty-wspomnien.html

Fot. Archiwum Sejmu

WSPOMNIENIE

Koszmarny śmiech Wałęsy. Fragmenty wspomnień

Autor: JUSTYNA BŁAŻEJOWSKA 16.05.2019

Do dzisiaj pamiętam zbiorowy śmiech Lecha Wałęsy i jego współpracowników, który wybuchł w momencie, kiedy poseł Kazimierz Świtoń ujawnił, że prezydent figuruje na liście osób zarejestrowanych przez Służbę Bezpieczeństwa jako tajni współpracownicy. Coś rzeczywiście koszmarnego – wspominał Jan Olszewski.

Nie mieliśmy wątpliwości, że Rosjanie dysponują wszystkimi najważniejszymi materiałami PRL-owskiej bezpieki. Przecież prawie do ostatniego momentu w 1989 r. sowieccy oficerowie łącznikowi normalnie

funkcjonowali w służbach zarówno wojskowych, jak i cywilnych. Nie wiem, do kiedy dokładnie, trudno to określić. W końcu gen. [Czesław] Kiszczak zdecydował się prawdopodobnie poprosić, żeby przestali się pojawiać i pełnić swoje funkcje. Nastąpiło to chyba dopiero latem albo jesienią 1989 r.

To było oczywiste, że przeprowadzenie lustracji stanowi zasadniczą rzecz, jeżeli w ogóle chcemy zapewnić sobie elementarne warunki do uzyskania suwerenności, do samodzielności. Uważałem tego typu operację za absolutnie konieczną. Moje doświadczenie życiowe z okresu PRL-u, poczynając od samego początku właściwie, wskazywało na jedno – cały system w Polsce po 1945 r. był budowany przede wszystkim na obezwładniającej społeczeństwo siatce konfidentów, tworzonej według klasycznych wzorów sowieckich. Rozmawiając z panią o wydarzeniach z 1956 r., opowiadałem o „bezpieczniackim październiku”[1]. Komitet strajkowy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zaprosił mnie wówczas, jako przedstawiciela redakcji „Po prostu”, do gmachu bezpieki. Tam pokazano mi dosyć dużą salę, wypełnioną półkami z aktami. „Oto dokumentacja agentury, ładne paręset tysięcy teczek konfidenckich” – usłyszałem. Nie mogłem w żadnym wypadku uznać tego za wiadomość, za którą dam głowę, ale moi rozmówcy byli wtedy rzeczywiście w desperacji i myślę, że mówili mniej więcej prawdę.

> Moje doświadczenie życiowe z okresu PRL-u, poczynając od samego początku właściwie, wskazywało na jedno – cały system w Polsce po 1945 r. był budowany przede wszystkim na obezwładniającej społeczeństwo siatce konfidentów, tworzonej według klasycznych wzorów sowieckich.

Na systemie agentów w ogóle opierały się rządy komunistyczne w Polsce. Po 1956 r. spadek przejęły może nie tyle zweryfikowane, ile zredukowane służby specjalne (mówię zwłaszcza o bezpiece). Cały pierwszy okres werbunków w następnych latach miał na celu odnowienie siatki. Stopniowo odbudowywano stan posiadania, przy czym spośród dotychczasowych konfidentów wybierano tych, którzy interesowali „bezpieczeństwo” w nowym układzie. Jednocześnie zaczęto kłaść nacisk na nowe techniki operacyjne, głównie na podsłuchy; choć może nie większy niż na źródła osobowe, to – bardzo istotny. To już była bezpieka inna „cywilizacyjnie”, nie posługiwała się fizycznym terrorem, raczej tworzeniem psychologicznej atmosfery strachu.

Nabór agentów ponownie ruszył intensywnie w okresie stanu wojennego. Odziedziczyliśmy to wszystko po 1989 r. Nie miałem wątpliwości, że jeżeli nie załatwimy tego problemu, i to w sposób radykalny, trudno będzie mówić o jakimkolwiek uzdrowieniu życia publicznego w Polsce. Od samego początku traktowałem tę sprawę

jako zupełnie zasadniczą.
Pomysły na lustrację.

Kiedy mówiliśmy o planie pracy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na 1992 r., to wiadomo było, że lustracja jest jedną z najpilniejszych rzeczy do zrobienia, tylko trudno było wskazać dokładny termin. Najpierw musieliśmy zorientować się w odziedziczonych materiałach i możliwości ich gromadzenia, dlatego natychmiast powstał tzw. zespół Piotra Woyciechowskiego[2]. Od przebiegu rozeznania uzależnialiśmy moment i charakter ustawy lustracyjnej. Dopiero po dwóch czy trzech miesiącach mogliśmy zacząć myśleć, w jaki sposób potraktujemy problem i na kiedy zdołamy opracować konkretny projekt odpowiadający sytuacji. Zrozumieliśmy, że uda się to zrobić najwcześniej gdzieś na przełomie lata i jesieni.

Nie dyskutowaliśmy jeszcze tak do końca jednego rozwiązania. Oczywiście, przede wszystkim była propozycja przygotowywana przez sam resort [spraw wewnętrznych]. Ja wiedziałem, jak wyglądał mój własny pomysł na załatwienie sprawy. Sformułowałem go pod koniec 1989 czy na początku 1990 r., kiedy toczyła się dyskusja na temat postępowania ze spadkiem po bezpiece. Zajmowałem wówczas następujące stanowisko. Jeśli chodzi o aparat etatowy SB, to trzeba rozwiązać dawne służby i zacząć tworzyć nowe, na tzw. surowym korzeniu, co określałem jako „opcję zero". Funkcjonariuszom, za wyjątkiem winnych zabójstwa, należy zagwarantować abolicję (pełną bezkarność), pod jednym warunkiem. Mianowicie, przesłuchiwani – powiedzą prawdę. Zeznają, jak rzeczywiście działali, co robili, jak to wyglądało. To pierwsza rzecz. Druga, jeśli chodzi o konfidentów. Uplątanie miało różny stopień i charakter, więc uważałem, że upublicznienie całości danych nie jest społecznie celowe. Opowiadałem się za ujawnieniem przeszłości osób pełniących funkcje publiczne. Nawet nie chodzi o to, że ewentualne związki z bezpieką dyskwalifikowały ich moralnie – o takim aspekcie nie mówiło się wtedy – ale mogły stanowić element szantażu. Dlatego uważałem, że obejmujący stanowiska muszą złożyć stosowne oświadczenia i każdy, kto otarł się o współpracę, powinien przyznać się i opowiedzieć o tym szczegółowo. To był podstawowy warunek. Nie zakładałem, że fakt kontaktów sam w sobie dyskwalifikuje, tylko ma ujrzeć światło dzienne. Tak wyglądały moje główne pomysły z tamtego czasu na rozwiązanie problemu. Opracowałem notatkę, którą przekazałem premierowi [Tadeuszowi] Mazowieckiemu. Dla pewności, żeby nie zginęła, złożyłem drugi egzemplarz na ręce sekretarza Konferencji Episkopatu [Polski], abp. [Bronisława] Dąbrowskiego (po wprowadzeniu stanu wojennego byłem doradcą w Sekretariacie Episkopatu). Jak przypuszczam, dokument na pewno nie przepadł, o ile znam zasady archiwizacji materiałów w aparacie kościelnym… Dzięki temu ponad wszelką wątpliwość można ustalić moje stanowisko. Co stało się z notatką przekazaną panu premierowi Mazowieckiemu, oczywiście nie wiem. Myślę, że nie potraktował przedstawionych propozycji poważnie.

W 1991 r., kiedy obejmowaliśmy z dobrodziejstwem inwentarza instytucje państwa[3], koncepcja „opcji zero" przy budowie służb specjalnych była niestety nieaktualna. Problemy w dalszym ciągu jednak istniały. Pierwsze rozmowy z Antonim Macierewiczem odbyłem rok wcześniej – w 1990 r., po powierzeniu mi przez Lecha Wałęsę misji sformułowania nowego rządu. Było to jeszcze w okresie wyborów prezydenckich[4]. Już wtedy wypłynęła kandydatura Antoniego jako ministra spraw wewnętrznych. Omawialiśmy koncepcję i możliwości działania. Uważałem, że zespół harcerski, którym dysponował, chociaż bardzo niewielki, to przynajmniej był sprawdzony i wystarczająco operatywny, żeby stanowić podstawę dla całej operacji[5]. Później, w grudniu 1991

r., wróciliśmy do tego pomysłu.

Czarne chmury nad rządem

Plan „tamtych” przewidywał, że mój rząd absolutnie nie poradzi sobie z sytuacją. Udało się to rzeczywiście prawie cudem. Początkowa, bardzo krótka tolerancja wynikała po prostu z kalkulacji strony przeciwnej. Powiem, na czym polegała. Otóż gospodarka kraju, a zwłaszcza finanse publiczne, znajdowały się w stanie absolutnie dramatycznym. Wiadomo było, że zderzymy się z tym problemem i jeżeli nawet zdołamy opanować sytuację, to ogromnym kosztem. „Tamci” zakładali, że oczywiście sobie nie poradzimy. Rozumowali na zasadzie: „Dobrze, niech spróbują. I tak wszystko szybko się posypie, a wtedy na nich zwalimy ekonomiczne skutki planu Balcerowicza”. Musieliśmy zmierzyć się z programem, na który po „tamtej” stronie nikt nie miał ani chęci, ani – zdaje się – pomysłu. Już mniej więcej trzy miesiące później stało się jasne, że „pułapka” nie zadziała. W tym momencie w gronie pewnych ludzi zapanowała zdecydowana nerwowość i zaczęli szukać możliwości rozprawienia się z rządem. Zwłaszcza że nastąpiły posunięcia, które były szczególnie dla nich dotkliwe. Najpierw doszło do zmiany kierownictwa Wojskowych Służb Informacyjnych i próby wkroczenia na teren WSI w celu zrobienia tam porządku. Próby niestety nieudanej – nie dało się znaleźć wtedy sposobu na naprawę sytuacji. Wybór nowego szefa nie był dobry, ale w każdym razie dokonał się[6] i… zaalarmował drugą stronę. Nienaruszony stan WSI stanowił bowiem jeden z filarów starego porządku, jego gwarancję. Nadszedł jeden z pierwszych zasadniczych momentów, które wywołały w kręgu belwederskim niesłychaną reakcję. Formalnie Wałęsa nic nie powiedział, ale dochodziły z Belwederu odgłosy wyraźne i bardzo jednoznaczne, że traktuje się to jako akt osobistej wrogości. Drugą sprawą na granicy tolerancji, jeżeli to właściwe słowo, była zmiana na stanowisku przewodniczącego Radiokomitetu: w miejsce Janusza Zaorskiego został powołany Zbigniew Romaszewski[7].

> Zwykle różne rzeczy omawia się telefonicznie, a my nawet w wypadku telefonów rządowych nie mieliśmy żadnej gwarancji, że są odpowiednio zabezpieczone. Zdarzało się, że w pewnych sytuacjach „urywaliśmy się” nawet własnej ochronie. Może było to trochę naiwne, ale na pewno słuszne.

Jak dzisiaj to sobie przypominam, to w tamtym czasie spotykaliśmy się z ministrem Macierewiczem

przynajmniej dwa razy w tygodniu, niekiedy uczestniczył w tym Piotr Naimski[8]. Taką częstotliwość mogę przyjąć w sposób odpowiedzialny. Oczywiście zdarzały się sytuacje nadzwyczajne, powodujące, że musieliśmy porozumieć się szybko. Nawiasem mówiąc, wcale nie było to proste… Zwykle różne rzeczy omawia się telefonicznie, a my nawet w wypadku telefonów rządowych nie mieliśmy żadnej gwarancji, że są odpowiednio zabezpieczone. Zdarzało się, że w pewnych sytuacjach „urywaliśmy się" nawet własnej ochronie. Może było to trochę naiwne, ale na pewno słuszne. Istniały oczywiste dowody, że jeżeli coś odbywa się w gmachu Urzędu Rady Ministrów i w moim gabinecie, to bardzo szybko znajduje odbicie w publikacjach tygodnika „Nie".

Dostrzegam szczególny związek między obaleniem rządu a sprawą słynnego protokołu do traktatu polsko-rosyjskiego[9]. W gruncie rzeczy stanowisko Wałęsy zostało określone już przy tamtej okazji, a materializowało się w momencie, kiedy pojawiła się kwestia lustracji. Nasz formalny sprzeciw wobec paragrafu 7[10] tego dokumentu pan prezydent potraktował najwidoczniej jako pokrzyżowanie jego zasadniczych planów. Wylatując z Moskwy, jeszcze w samolocie, oświadczył, że nie widzi możliwości dalszej współpracy z rządem, premierem – i zażąda dymisji gabinetu. Rzeczywiście, zaraz po powrocie przesłał do marszałka sejmu Wiesława Chrzanowskiego pismo w tej sprawie[11].

Uchwała lustracyjna i reakcja Wałęsy

Zgłoszenie projektu uchwały lustracyjnej[12] wpisywało się w przygotowywany scenariusz obalenia rządu. Nie sądzę, żeby inicjatywa zrodziła się tak natychmiast w głowie Janusza Korwin-Mikkego i nie była z nikim dyskutowana, że nikt nie lansował mu tego pomysłu. Z powstałej sytuacji mieliśmy wyjścia trochę kiepskie – praktycznie nie mieliśmy żadnego[13]. Mogliśmy powiedzieć: „Nie jesteśmy w stanie zrealizować wyznaczonego zadania literalnie" i odmówić – lub spróbować, wiedząc, że odbędzie się to na zupełnie wariackiej zasadzie. Podjęta uchwała w żadnym wypadku w takiej postaci nie była wykonalna i w ogóle była absurdalna. Jednocześnie w obowiązującym porządku gabinetu parlamentarnego była dla nas obowiązująca. Zrobiliśmy pewien manewr, dosyć wątpliwy z formalno-prawnego punktu widzenia – skorygowaliśmy ją na własną rękę i wykonaliśmy daleko idącą korektę dokonaną właściwie przez premiera, bo ja to przede wszystkim firmowałem, obok ministra spraw wewnętrznych[14]. Zrobiliśmy tak, ponieważ odmowa z naszej strony, choć oczywiście możliwa, oznaczałaby po prostu pogrzebanie wszelkich szans przeprowadzenia przez rząd operacji lustracyjnej w ogóle i kiedykolwiek.
Realizując uchwałę, chcieliśmy dać możliwość obrony w wypadkach budzących jakiekolwiek wątpliwości. Zasadniczą kwestię stanowiła klauzula ewentualnej weryfikacji przez specjalny organ Sądu Najwyższego. Stąd wziął się pomysł tzw. komisji Strzembosza[15]. Tutaj odwoływałem się trochę do spraw, które znałem z własnej praktyki adwokackiej. Kiedyś bardzo znany doktor warszawski, dyrektor jednego ze szpitali, zwrócił się z prośbą o poradę. Podpisał zobowiązanie, ponieważ tylko pod tym warunkiem bliska mu osoba, ciężko chora, mogła dostać zgodę na leczenie za granicą. I chciał się z tego wyplątać – więc ja znałem takie sytuacje. Być może doświadczenie szczególnej praktyki adwokackiej w PRL-u rzutowało na moją postawę także w tym

przypadku. Stwierdzaliśmy jedynie, co znajduje się w dokumentacji, w tamtym momencie nie chcieliśmy wziąć za nią odpowiedzialności. Nawet nie mogliśmy, nie byliśmy uprawnieni. Nie mogliśmy powiedzieć: „To z całą pewnością wszystko prawda". Nie mieliśmy stuprocentowej pewności.
Na pewno wiedzieliśmy, że miała miejsce współpraca Lecha Wałęsy i dotyczyła bardzo drażliwego okresu 1970 r. i po 1970 r, a także, że nie miała charakteru doraźnego, a przeciągała się w czasie[16]. Pojawia się tylko pytanie, jak dalece był później uwarunkowany, bo że był – to zupełnie oczywiste. Skoro nie był gotów się przyznać, to musiał się liczyć z możliwością ujawnienia materiałów w każdym momencie; musiał wówczas zachowywać się tak, żeby „oni" tego nie zrobili.

> Na pewno wiedzieliśmy, że miała miejsce współpraca Lecha Wałęsy i dotyczyła bardzo drażliwego okresu 1970 r. i po 1970 r, a także, że nie miała charakteru doraźnego, a przeciągała się w czasie. Pojawia się tylko pytanie, jak dalece był później uwarunkowany, bo że był – to zupełnie oczywiste.

Wspomniałem o sprawie protokołu do traktatu polsko-rosyjskiego. Przed wyjazdem delegacji do Moskwy, ze względu na wagę problemu, postanowiliśmy razem z ministrem Macierewiczem uprzedzić prezydenta o sytuacji bardzo zdecydowanych nacisków, w jakiej może się tam znaleźć. Że mogą zostać zastosowane sugestie dotyczące jego przeszłości, opierające się na dokumentach, które znajdowały się w dyspozycji polskiej bezpieki. Było wiadomo, że kopie są w rękach Rosjan, że są znane i że trzeba brać pod uwagę próbę wykorzystania tych materiałów w trakcie negocjacji. Powstała koncepcja, żeby minister Macierewicz przeprowadził z Wałęsą rozmowę i uprzedził po prostu o niebezpieczeństwie zaistnienia tego rodzaju faktu. Prezydent powinien liczyć się z czymś takim i być na to odpowiednio przygotowany. Oczywiście cały czas mieliśmy przekonanie, że będzie reprezentował stanowisko rządu w sposób zupełnie jednoznaczny… Sprawa nie okazała się całkiem prosta… Nie uczestniczyłem w spotkaniu, ale znałem przebieg rozmowy z relacji Macierewicza. Wałęsa przyjął postawę, powiedzmy sobie szczerze, mało, hm… uspokajającą. Zdaje się, odczytał sytuację w dosyć specjalny sposób – to znaczy uznał, że wysuwamy w stosunku do niego roszczenia o charakterze interesu politycznego i zajął stanowisko typu: „O co wam chodzi? Czego chcecie w zamian? Co mam załatwić?". Potraktował nasze uprzedzenie jako formę propozycji politycznego dealu, właściwie – wymuszania czegoś na nim.

Prezydent Lech Wałęsa i jego współpracownicy podczas obrad Sejmu, 4 czerwca 1992 r. Fot. Archiwum Sejmu

Przemówienie premiera Jana Olszewskiego w czasie debaty sejmowej nad wnioskiem prezydenta Lecha Wałęsy o odwołanie go z funkcji szefa rządu, 4 czerwca 1992 r. Fot. Archiwum Sejmu

Wystąpienie posła Kazimierza Świtonia, w którym ujawnił przed Sejmem, że prezydent Lech Wałęsa figuruje na liście osób zarejestrowanych przez Służbę Bezpieczeństwa jako tajni współpracownicy, 4 czerwca 1992 r. Fot. Archiwum Sejmu

Zawsze kieruję się pewnym adwokackim przyzwyczajeniem – wątpliwości, każdy fakt o dwuznacznej wymowie, traktuję na korzyść zainteresowanego. Przypuszczam więc, że 4 czerwca[17] Wałęsa miał przez moment zdrowy odruch i chciał powiedzieć, jak rzeczywiście było, a przynajmniej przyznać się do tego, co robił w latach siedemdziesiątych. Ktoś musiał mu to jednak po prostu wyperswadować. Uważam to za „zdrowy odruch", tylko bardzo późny. Gdyby [Wałęsa] ujawnił fakt współpracy zaraz po wyborze na najwyższy urząd w państwie, znalazł jakąś formułę przekazania prawdy, to – oczywiście – wywołałoby to wstrząs w społeczeństwie, ale miałby sprawę z głowy… W wystosowanym, ale szybko wycofanym oświadczeniu potwierdził podpisanie kilku dokumentów w 1970 r., to rzeczywiście w jego stylu…[18]. W każdym razie był w tym zachowaniu zdroworozsądkowy odruch pójścia we właściwą stronę. Nie da się zaprzeczać oczywistym rzeczom, więc trzeba się przyznać, choćby częściowo… Wtedy nie bardzo wiedział pewnie, co jest w materiałach. Jak mówię – ktoś niewątpliwie odwiódł Wałęsę od takiego kroku, nie sądzę, żeby sam się zreflektował. Nie wykluczam, że w pierwszej chwili potraktował całą sytuację jako okazję do pozbycia się obciążenia i potwierdzenia przynajmniej tego, co musiał wiedzieć, że dokumenty zawierają. Akta bezpieki zachowały się przecież w gdańskim Urzędzie [Ochrony Państwa].

Może efektownym zakończeniem byłoby zderzenie owego „zdrowego odruchu" z zachowaniem Wałęsy tamtej nocy[19], na nocnym posiedzeniu Sejmu. Do dzisiaj pamiętam zbiorowy śmiech, jego i całego grona jego współpracowników, który wybuchł w momencie, jak [Kazimierz] Świtoń występował i ujawnił, że prezydent figuruje na liście [osób zarejestrowanych przez Służbę Bezpieczeństwa jako tajni współpracownicy – red.]. Miał ten śmiech charakter pewnego nerwowego odruchu. Coś rzeczywiście koszmarnego zupełnie. Czegoś takiego – choć miałem wtedy 62 lata życia za sobą – nigdy wcześniej nie słyszałem.

Tekst ukazał się w „Biuletynie IPN" nr 6/2017

---

[1] Czyli o buncie szeregowych funkcjonariuszy bezpieki. Relacja na ten temat znajdzie się we wspomnieniach Jana Olszewskiego, które przygotowuję do druku. Niniejszy materiał powstał na podstawie

kilku rozmów dotyczących 1992 r., przeprowadzonych w marcu i kwietniu 2017 r.

[2] Chodzi o Wydział Studiów, powołany 10 lutego 1992 r. przez szefa MSW – Antoniego Macierewicza „jako wyspecjalizowana jednostka w strukturze resortu spraw wewnętrznych, mająca na celu profesjonalną realizację przygotowywanych wówczas w Sejmie regulacji lustracyjnych" (P. Woyciechowski, *Kulisy lustracji 1992*, [w:] W. Bagieński, S. Cenckiewicz, P. Woyciechowski, *Konfidenci*, Warszawa 2015, s. 263).

[3] Jan Olszewski otrzymał misję tworzenia rządu 6 grudnia 1991 r. 17 grudnia, ze względu na stanowisko prezydenta Lecha Wałęsy, który odmówił z nim współpracy, podał się do dymisji, ale nie została ona przyjęta przez sejm. Gabinet powstał ostatecznie 23 grudnia.

[4] Propozycja datuje się na 2 grudnia 1990 r. Olszewski zrezygnował szesnaście dni później, ponieważ nie godził się na objęcie stanowiska ministra finansów przez Leszka Balcerowicza.

[5] Mowa o środowisku 1 Warszawskiej Drużyny Harcerzy im. Romualda Traugutta i Gromady Włóczęgów, którego uczestnicy zorganizowali latem 1976 r. akcję pomocy dla represjonowanych w związku z czerwcowym buntem społecznym i doprowadzili do powołania Komitetu Obrony Robotników. Później tworzyli tzw. grupę Głosu (nazwa pochodziła od tytułu pisma wydawanego przez nich poza cenzurą).

[6] 1 kwietnia 1992 r. minister obrony narodowej Jan Parys odwołał szefa WSI kadm. Czesława Wawrzyniaka, którego zastąpił gen. bryg. Marian Sobolewski.

[7] Dymisja Janusza Zaorskiego nastąpiła 19 maja.

[8] Zajmował stanowisko szefa Urzędu Ochrony Państwa (od 1 lutego do 5 czerwca 1992 r.).

[9] Został podpisany przez prezydentów Polski (Lecha Wałęsę) i Rosji (Borysa Jelcyna) 22 maja w Moskwie.

[10] Dotyczył wspólnych spółek polsko-rosyjskich, które miały działać na terenach dotychczas zajmowanych przez bazy sowieckie. Wiązałoby się to z wyłączeniem tych obszarów spod jurysdykcji Polski i oznaczało utrwalenie wpływów Rosji.

[11] W piśmie datowanym na 27 maja, wręczonym marszałkowi sejmu Wiesławowi Chrzanowskiemu przez szefa Gabinetu Prezydenta RP Mieczysława Wachowskiego, Wałęsa stwierdził, że podejmowane są „nieodpowiedzialne kroki w sprawach zagranicznych", a współpraca rządu z prezydentem weszła „w fazę ostrego konfliktu". Prezydent napisał o utracie zaufania do rządu oraz wezwał marszałka i kluby parlamentarne do „przezwyciężenia tego impasu" (cyt. Za: M. Gugulski, *Przed nocną zmianą był traktat z Rosją*, http://gugulskim.salon24.pl/423459,przed-nocna-zmiana-byl-traktat-z-rosja, dostęp: 25 V 2017 r. Pierwotna wersja tekstu ukazała się w „Gazecie Polskiej" z 20 X 1995 r.).

[12] 28 maja przez Janusza Korwin-Mikkego, prezesa Unii Polityki Realnej.

[13] W tym samym dniu sejm przegłosował uchwałę o treści: „Niniejszym zobowiązuje się ministra spraw wewnętrznych do podania do dnia 6 czerwca 1992 roku pełnej informacji na temat urzędników państwowych od szczebla wojewody wzwyż, a także senatorów, posłów; do 2 miesięcy – sędziów, prokuratorów, adwokatów oraz do 6 miesięcy – radnych gminnych i członków zarządów gmin – będących współpracownikami UB i SB w latach 1945–1990" (M. Wojciechowski, *Sejm postanowił: Macierewicz otworzy teczki*, „Nowy Świat" nr 126, 29 V 1992 r., s. 1).

[14] Opracowana w MSW lista zawierała nazwiska osób zarejestrowanych jako TW. Dołączono do niej notatkę z informacją, że „minister spraw wewnętrznych pragnie kategorycznie stwierdzić, iż nie uważa się za upoważnionego, by określać, kto był, a kto nie był współpracownikiem Urzędu Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa. […] Może jedynie przekazać do wiadomości odnalezione w archiwach podległych mu służb dane operacyjne i archiwalne dotyczące tej kwestii" (cyt. za: S. Cenckiewicz, P. Gontarczyk, *SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii*, IPN, Gdańsk–Warszawa–Kraków

2008, s. 185).

[15] 2 czerwca 1992 r. Olszewski zwrócił się na prośbę Macierewicza do prof. Adama Strzembosza – „osoby bezstronnej i obdarzonej zaufaniem społecznym ze względu na pełnione funkcje Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego oraz przewodniczącego Trybunału Stanu" o powołanie komisji, „najlepiej spośród sędziów tego Trybunału […] której zadaniem byłoby wyjaśnienie indywidualnych zastrzeżeń zainteresowanych osób co do prawidłowości realizacji w ich wypadku uchwały Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej" (Pismo Prezesa Rady Ministrów J. Olszewskiego do I Prezesa Sądu Najwyższego prof. A. Strzembosza, Warszawa, 2 VI 1992 r., cyt. za: S. Cenckiewicz, P. Gontarczyk, *SB a Lech Wałęsa…*, s. 184). Profesor Strzembosz zgodził się to zrobić pod warunkiem braku zastrzeżeń ze strony władz sejmu (Pismo I Prezesa Sądu Najwyższego prof. A. Strzembosza do Prezesa Rady Ministrów J. Olszewskiego, Warszawa, 3 VI 1992 r., [w:] *Olszewski. Przerwana premiera. Z Janem Olszewskim rozmawiają Radosław Januszewski, Jerzy Kłosiński, Jan Strękowski*, Warszawa 1992, s. 19).

[16] Przebieg współpracy Lecha Wałęsy z SB rekonstruowali Sławomir Cenckiewicz i Piotr Gontarczyk w książce *SB a Lech Wałęsa…* Podane przez nich informacje potwierdziły się po odnalezieniu w lutym 2016 r. w domu gen. Kiszczaka teczki personalnej i teczki pracy TW o pseudonimie „Bolek".

[17] Tego dnia została zrealizowana uchwała sejmu z 28 maja.

[18] W oświadczeniu, przekazanym Olszewskiemu przez wysłannika Belwederu 4 czerwca, Wałęsa pisał: „Aresztowano mnie wiele razy. Za pierwszym razem, w grudniu 1970 roku, podpisałem 3 albo 4 dokumenty. […] Pragnieniem moim jest, by wszystkie materiały, wszystkie przesłuchania, w tym słynna rozmowa z bratem, zostały opublikowane. […] Odkładałem to na późniejszy termin […]. Ale ponieważ ten temat poruszono właśnie teraz – proszę bardzo" (treść dokumentu [w:] *Olszewski. Przerwana premiera…*, s. 91).

[19] Z 4 na 5 czerwca, kiedy obalano rząd Olszewskiego.

COFNIJ SIĘ